

A person with dark hair, wearing a dark long-sleeved shirt and jeans, stands with their back to the camera. They are looking at a large, white computer keyboard that fills the background. The keyboard is slightly out of focus, and the person's hand is visible near the bottom left. The overall tone is contemplative and somewhat somber.

DWUNASTU APOSTOŁÓW SAMOTNOŚCI

ZENON PIOTROWICZ

ZENON PIOTROWICZ

**DWUNASTU
APOSTOŁÓW
SAMOTNOŚCI**

© Copyright by Zenon Piotrowicz & e-bookowo
Grafika na okładce: Simon Steinberger, Daniel Reche pixabay.com

ISBN: 978-83-8166-179-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2020

„(...) I choć to ból i lęk i szok
Jak wielki błysk, jak w sercu nóż
Śmiało w tę przepaść postaw krok
Świat sobie znów na nowo stwórz

Choć przecież wiesz, że to
Tak krótko musi trwać
Chroń ten ostatni ból, by mógł
Serce Ci w strzępy rwać

Bo tylko w jedną w życiu noc
będzie Cię stać na szczere łzy
A potem spadniesz znów na dno
Najzwyczajniejszych dni...”

S. Staszewski - „Nie dali ojce”

FELCZERKA UPADŁYCH

Jak zawsze, kiedy dzień nie okazywał się być dla niego łaskawy, a rzadko kiedy doznawał jego łaski, przyjechał na spowitą mrokiem ulicę Szlak. Był to jedyny szlak, po którym chodził. Często. Regularnie. Z pasją. Był to jedyny szlak, który mógł go zaprowadzić gdzie indziej niż w parzywy mrok codzienności. Nie inaczej było tym razem. Zaparkował swojego mercedesa tam, gdzie miał zwyczaj go zostawiać i ruszył w stronę obskurnej kamienicy, która samym wyglądem mówiła do każdego, kto posiada jakikolwiek instynkt samozachowawczy, krótkie, treściwe „spierdaj”. Wszedł do oblepionej reklamami klatki i ruszył w górę. Wąskie schody prowadziły go na trzecie piętro. Drogę zajmowało mu studiowanie wyrzytych na ścianach napisów. Kto z kim, kto kogo i za ile. Numery telefonów do lokalnych cweli i groźby dla miejscowych konfidentów. Wyznania miłości i nienawiści, które niejednokrotnie szły

w parze. Były tu zapisane wszystkie fundamenty Piramidy Masłowa. Im wyżej, tym więcej.

Stanął przed nieskazitelnie białymi drzwiami, kontrastującymi z wszechobecnym syfem. Oddech miał przyspieszony, choć sam nie wiedział czy to po wysiłku wspinaczki, czy z pełzającej po jego kręgosłupie ekscytacji na myśl o nadchodzącej ucieczce od codzienności. Nacisnął przycisk dzwonka, czując jak na jego czole pojawiają się niewielkie krople potu. Otworzyła mu drzwi ubrana w czarne pończochy, będące idealnym przeciwieństwem jej alabastrowej cery. Czarna, koronkowa bielizna i kruczoczarne włosy dodawały jej seksapilu, którego i bez tego miała tyle, że mogłaby obdarować nim pół miasta i jeszcze sporo by zostało. Nie odzywali się do siebie. Nigdy. Uśmiechnęła się na jego widok, chwyciła jego wilgotną od potu dłoń i poprowadziła po miękkim dywanie do salonu. Każdy jej ruch, każdy gest, były jak balsam spływający na jego poszarpaną duszę. Uczucie ulgi było natychmiastowe. Pchnęła go delikatnie na sofę, nie pozostawiając mu pola manewru, którego i tak nie chciał.

Praca agenta złej woli miała wiele plusów, ale miała i minusy. Rozpoczął swój biznes w inkubatorze przedsiębiorczości jako start-up. I trafił w samo sedno. Sam nie wie-

dział, kiedy jego konto zapełniło się zerami, przed którymi szybko pojawiały się większe wartości. Zlecenia zaczynały spływać zza granicy. Ze wschodu i zachodu. W sumie cały świat, jak długi i szeroki, obfitował w skurwysyństwo maści wszelakiej. Złej woli było pod dostatkiem pod każdą szerokością geograficzną. I nigdzie, nigdzie nie żałowano pieniędzy na jej spełnienie. Ludzka uniwersalna, niezmienna zmienna. Płacili dobrze, nawet coraz lepiej. I wtedy pojawił się pierwszy, a zarazem najpoważniejszy problem. Zaczynało brakować mu rąk do pracy, bo jego dwie okazały się dalece niewystarczające. Co gorsza, nikt nie chciał się takiego zajęcia podjąć. A zajęcie to w gruncie rzeczy nie wymagało niczego poza pozbyciem się skrupułów. Tego ostatniego ochłapu człowieczeństwa, którego ewolucja jeszcze nie zdążyła się całkiem pozbyć, chociaż pracowała nad tym intensywnie. Jemu się udało. I to nawet bez jakiś specjalnych problemów. Po czasie okazało się jednak, że jego fach pozostawia mikroślady w pamięci, które po nawarstwieniu się zaczynały doskwierać. Szukał rozwiązania w tabletkach i wódce, ale okazały się być skuteczne tylko na krótką metę. Kościół i psychologów skreślił od razu, jako potencjalnie zagrażających firmie. Pozostała mu samotna walka z tym, co inni nazywali wyrzutami sumienia. On zaś wołał to określać mianem choroby zawodowej. Żeby mieć wyrzuty, trzeba choć trochę żałować. On nie żałował. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Rozpięta wilgotną od potu koszulę klejącą się do jego skóry. Uwielbiał, kiedy się nad nim pochylała. Chłonał jej zapach zmieszany z najlepszymi perfumami. Żadna koka wciągana kilogramami nie dawała takiego efektu, jak jedno zaciągnięcie się Nią. Usiadła na nim okrakiem i zaczęła muskać językiem jego szyję. Delikatnie, powoli, wywołując dreszcze i mrowienie w kończynach. Jej dłonie, ciepłe i delikatne, głaskały jego ciało. Błądziły, niby bezwiednie po klatce piersiowej i brzuchu. Wyznaczały ślad, po którym szły czerwone i wilgotne usta, a wraz z nimi zdrowie psychiczne, którego coraz bardziej mu brakowało.

To nie jest tak, że podejmował się wszystkiego. Ludzie często mylili jego profesję ze zwykłą bandytką. Działo mu to na nerwy, ale nic nie mógł na to poradzić. Moc skojarzeń, z którą walka była nie dość, że kosztowna, to jeszcze skazana na niepowodzenie. On tylko służył pomocą. Słuchał i realizował to, czego ludzie sami zrealizować nie potrafili. Ba! Robił to w sposób mistrzowski. Wręcz arcy-mistrzowski. Przyjmował zlecenie i wykonywał swoje zadanie. Agent złej woli, był nikim innym jak jej przedstawicielem. Jeżeli ktoś miał jakieś pretensje czy żale do kogoś innego, on je poznawał, pakował i dawał adresatowi. Bez względu na to, czy były uzasadnione czy nie. Cały kunszt

polegał na tym, że nie było to zwykłe darcie mordy z pretensjami. Przychodził zawsze elegancko ubrany. Zawsze w momencie, kiedy adresat jego usługi był w dobrym nastroju. To było warunkiem koniecznym. Potrafił wkupić się szybko w łaski i dostawał szansę by mówić. Szansę, której nigdy nie marnował. Mówił długo, zrozumiale, w sposób dostosowany do rozmówcy. Opowiadał, jak wiele złych myśli dana osoba przyciąga. Jak bardzo przeszkadza. Jak bezsensownym jest tworem natury. Oczywiście nie nazywając rzeczy po imieniu. Rozmówca zawsze dochodził do tego wniosku sam. I wtedy jego zadanie było wykonane. Niby nic złego. Zwykle uświadomienie nieuświadomionego. Legalne, początkowo nawet dotowane z Unii. Teraz już całkowicie na własnym kapitale. Odchodził starając się zapomnieć twarz rozmówcy. Czasami się udawało, czasami jednak nie. Zwłaszcza, kiedy twarz wracała na okładkach gazet z nagłówkiem „Poszukiwany”. Z reguły się już nie znajdowali, ale on wiedział co było dalej. Samobójstwo, staczenie się, ćpanie, alkohol i śmierć. Zawsze w efekcie była śmierć. Kwestią nieznaną było to, czy najpierw umrze ciało, czy padnie duch. Niejednokrotnie padały jednocześnie. I to właśnie zapisywało się czasami z tyłu jego głowy.

Teraz jednak był na kuracji. Jedynej, która dawała pozytywny efekt. Wszystkie przejawy jego choroby zawodowej

skleiły się w jedno i zaczęły spływać z jego głowy w dół ciała. I uwalniał się od nich wyrzucając je prosto do jej czerwonych, gorących ust. Zawsze znikwały wszystkie. Bez śladu. Pozostawiając po sobie tylko krótki odgłos przełykania. Patrzył na czubek jej głowy kołyszący się rytmicznie między jego udami i ją podziwiał. Podziwiał, bo przecież o miłości do dziwki nie mogło być mowy. Znów czuł się lepiej. Zdolny do dalszej egzystencji i pracy. Przecież PKB samo się nie robi.

Podciągnął spodnie i zapiał klamrę skórzanego paska. Ona jak zwykle zniknęła w toalecie. Wyciągnął gruby plik banknotów i położył go na stoliku. Założył marynarkę, ubrał buty i wyszedł wprost w kamieniczny gnój patologii. Silnik jego merca zaryczał agresywnie i po chwili ruszył przed siebie, zostawiając za sobą zapach palonej gumy.

Patrzyła przez okno jak odjeżdża. Oblizła wilgotne wciąż wargi i schowała pozostawione przez niego pieniądze. Odwróciła się w stronę wejścia. Otuliła się potężnymi białymi skrzydłami, które jeszcze przed chwilą były nieobecne. Pchnęła drzwi i wyszła z mieszkania, ginąc w oślepiającym blasku światła.

Rzeczpospolita, 22.06.2018

SPIIS TREŚCI

Felczerka upadłych	5
Caps Lock ciszy	11
Kupidyn sprawiedliwości	14
Cztery ściany dorosłości	19
Santa	25
Łańcuch przeznaczenia	31
Historia pewnej miłości	37
Syn dobrobytu	45
Akt ostatni	51
Zakochany kundel	57
Piewca zatracenia	62
Obywatel NN	66